

GRZESZNIK CZYNIĄCY PORUTĘ

Adam Poprawa

W Poszukiwanym, poszukiwanej Barei na wystawie malarza Adamca wreszcie się ktoś pojawił, i to kto! Domniemana gospodyni domowa. Artysta nie posiada się z radości, chce sprowadzić radio, kronikę filmową... Niestety, kobieta (fałszywa zresztą) znika, Adamiec zaś martwi się, że teraz nikt mu już nie uwierzy.

Parę lat temu wybraliśmy się z Izą do Krakowa na wystawę Maciejowskiego i trafiliśmy fatalnie na noc muzeów. Tłumniej niż na Sądzie Ostatecznym, ale zupełnie już niesprawiedliwie: musieliśmy czekać, aż się towarzystwo jednodziennych amatorów sztuki przewali, a i tak było ciasnawo. Wychodząc, zauważyliśmy młodzieńca w krótkich spodniach (a było chłodno) i adidasach, który czegoś się domagał. Pani z muzeum zaś spokojnie:

– No nie wiem, co pana interesuje...

Skąd ta obsesja prostego człowieka? Skąd, teraz już (nomen omen) nagminne, dowartościowanie amatorów? Napisz **recenzję**, jak zachęcają internetowe księgarnie. Furda krytycy, do diabła z profesjonalizmem, oto bowiem może zwykły człowiek z ulicy coś przeczyta, zobaczy, czegoś posłucha...

Może to zjawisko postewangeliczne? „Powiadam wam, że taka będzie w niebiesiech radość z jednego grzesznika czyniącego pokutę, jak z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy pokuty nie potrzebują” (Łk 15, 7). Tak niegdyś przetłumaczył z Wulgaty ksiądz Eugeniusz Dąbrowski, doktor świętej teologii, doktor nauk biblijnych. W Biblii Tysiąclecia w tym miejscu mowa już nie o pokucie, lecz o nawróceniu – zawsze brzmi delikatniej – radość zaś ma być nie równa, lecz większa. Też się widać starają o publiczność. W każdym razie nie wydaje mi się, aby adresatowi kulturalnych umizgów przyszła do głowy pokuta lub choćby nawrócenie.

Julian Barnes relacjonuje wizytę w galerii sztuki w Birmingham. „W jednym z narożników, za szkłem, znajduje się niewielkie, ale przejmujące malowidło Petrusa Christusa, przedstawiające Zbawiciela, który odsłania swe rany: wyciągniętym palcem środkowym i kciukiem wskazuje miejsce, gdzie weszła włócznia – niemal nas zachęca, byśmy zbadali głębokość tego rozdarcia. [...] Kiedy skończyłem kontemplację tego dzieła, zauważyłem, że w moją stronę zmierza ubrany w dres ojciec z małym synem, krocząc żwawym krokiem człowieka nienawidzącego sztuki. Ojciec, wyposażony w lepsze adidasy i odznaczający się większą wytrzymałością, wyprzedzał swoją latorośl o jakieś dwa metry, wylaniając się zza narożnika. Chłopiec rzucił okiem na szklaną gablotę i spytał [...]: «Tato, dlaczego ten człowiek trzyma się za pierś?». Ojciec, nie zwalniając kroku, zdobył się na szybkie spojrzenie przez ramię i równie szybką odpowiedź: «Cholera wie»” (przekład Jana Kabata).

W latach 80. XX wieku TVP wyświetlała Sanatorium pod Klepsydrą Hasa. Zapowiadający Jan Suzin ostrzegł, że jest to film trudny i że w tym czasie na drugim programie można obejrzeć... +

W połowie też tamtej dekady postanowiono przygotować zestaw 100 filmów na stulecie kina. Z tej okazji – już wtedy! – przeczytałem w tygodniku „Antena”, że mają to być filmy wybitne, ale atrakcyjne dla widza.

Cóż. Dawniej (początkujący) odbiorca kultury dostawał jasne reguły gry: jak się solidnie przyłożysz, to przeżyjesz wiele. A dzisiaj? Oczywiście, masz własne zdanie, telenowele też są dobre, ale może, jakbyś tak znalazł czas, rzucisz okiem też na Felliniego? Nie, nie, bez zobowiązań, nie ma sprawy, przepraszamy za zabieranie twojego cennego czasu.

W latach 90. zdarzyło mi się kiedyś mieć spotkanie w szkole. Czytałem kawałki o muzyce z wyraźną aksjologią. O matko ludowa, myślałem, że mnie zlinczują. Obraziłem albowiem młodzież samym systemem wartości.

– Przy Bachu nie poskakam! – darło się jakieś dziewczę.

Rzecz jasna, nie proponowałem dychotomii: klasyka tak – reszta nie. Dyrektorka jęła bronić młodzieży przed gorszycelem. Zapytałem ją potem grzecznie, co robi, gdy na lekcji polskiego ktoś przedkłada przysłowiowego Coelho nad, powiedzmy, Herlinga.

– Ach! Cieszę się, że w ogóle coś czyta.

Jak to prawie półtora wieku temu szydził pewien teoretyk kultury popularnej?

„Choćby z-rubasnić prawdę, lecz uczynić wziętą, / Zniżyć o sto, to będzie sto więcej pojętą!... / Zniżona tak, zacerpnie namiętności kału, / Potem się wyprze ojca swego... **Idealu!**”

W zeszłym zaś roku Agnieszka Wolny-Hamkało postanowiła chyba ustokrotnie – jeśli nie pojęcie, rozumienie, to na pewno przyjęcie poezji. Tak mianowicie zaczyna książeczkę Inicjał z offu:

„Mówią o niej niestworzone rzeczy: że ją torturowano w szkole, że komuś spaskudziła wie-

czór, że jej należy unikać, bo zaraża, usypia. To plotki. Ale można dla niej zwariować, można się dla niej zapomnieć. I pójść z nią w ciemno na wskroś. Współczesna poezja – mówi twoim językiem. Naprawdę. Wiersz to nie jest równanie do rozwiązania, albo inaczej: to równanie z nieskończoną liczbą rozwiązań. Może się zmienić w jednej chwili: ten sam wiersz może stać się wezwaniem do rewolucji, wyznaniem miłosnym, trenem ku pamięci. W tej pozbawionej reguł grze wszystko zależy od ciebie. Poezja to nie jest żyłasta hydra z metafor, zimna kochanka w mejkapie ze słów. To kurtyzana twojej wyobraźni, mikrofalowa kuchenka twoich własnych wspomnień, suflerka skojarzeń – które masz tylko ty. Masz ją w środeczku non stop. Czy się odważysz włączyć ją czasem?”.

Ojej.

Agnieszko miła, jak Cię już tak wzięło pedagogicznie, to panuj przynajmniej nad stylem. Może zresztą się myślę, przypisując tej książce intencje popularyzatorskie? Może chodziło po prostu o to, żeby autorka mogła sobie przy różnych wierszach impresyjnie popoľgować? Iwan Bunin nieco inaczej na rzecz się zapatrywał. W 1919 roku dziwił się w swoim dzienniku, że nie wszyscy rozumieją, dlaczego się nie udziela w Proletkulcie.

„Trzeba jeszcze dowodzić, że nie wolno siedzieć obok czerezwyczajki, gdzie bez mała co godzinę roztrzaskują komuś głowę, i oświecać w kwestii »ostatnich osiągnięć w instrumentacji wiersza« jakiegoś głąba z mokrymi od potu rękami! A niechże go dotknie zaraza do siedemdziesiątego siódmego pokolenia, jeśli nawet «jenteresuje się» wierszami”.

Przepisuję tłumaczenie Janiny Kornel, która tytuł Buninowego diariusza *Окаянные дни* oddała jako *Przekłete dni*. Autorka przekładu późniejszego, Renata Lis, wybrała *Nieszczęsne dni*. Hm. Który tytuł łagodniejszy? Najlepiej

osądzicie państwo sami, jak mawiają dziś kultur-
tregerzy. Przyznaję: obawiałem się, że i owego
odbiorcę, który nijak Bunina nie pociągał, tłu-
maczka przedstawi łagodniej. Ale nie: w wersji
Renaty Lis pojawia się „jakaś tępa chamka [...]”
nawet jeśli naprawdę «ynterესuje się» wiersza-
mi”.

Może więc nie wszystko jeszcze stracone? •
maj 2013

PAMFLET NA WSZYSTKICH LUDZI [14]

EDWARD PASEWICZ

Kiedy tusty mężczyzna przemawiał w barze
Miejsce i porywał do walki tłumek hipsterów,
w klubie Migawka, gdzie niepodzielnie rządził
barman Armani, nastąpiła mała katastrofa.
Rozemocjonowana Olimpia, opowiadała
o naprawie świata przez sztukę i męzne czyny.
Początek jej przemowy o niechęci i nienawiści
do rasy ludzkiej bardzo się Panu Stasiowi podo-
bał, ale reszta – jak myślał – jej bełkotu była zde-
cydowanie nie po jego myśli. Profesor Czuby-
aty nie bardzo pojmował cały wywód i zupełnie
nie rozumiał, dlaczego miałby paść w objęcia
najtłustszego faceta świata i dlaczego niby ma
przebłągiwać go za rzekome uwiedzenie Pana

Stasia. Pan Staś też był zdziwiony tym, że zo-
stał uwiedziony, kiedy to nijakiego uwiedzenia
nie czuł. Było dość gorąco. Armani jak zwykle
stał w drzwiach klubu i spokojnie obserwował
przyrodę na ulicy Krakowskiej. Stada samo-
chodów, pojedyncze osobniki braci albertynów,
kilku gniazdujących nieopodal dominikanów
i przechadzających się w niewielkich watachach
obcokrajowców, i kilku spłoszonych chasydów,
którzy w swych ogromnych godowych czapach
próbowali niepostrzeżenie zbiec z placu Wolni-
ca i najpewniej ukryć się w matecznikach woko-
licach synagogi Izaaka na ulicy o wdzięcznej
nazwie: ulica Kupa. Armani znał Krakowską od
lat. Tutejsza fauna i flora nie miały przed nim ta-
jemnic. Dlatego kiedy od ulicy Józefa zaczęły do-
biegać go groźne pohukiwania, gdy ziemia za-
częła drżeć, a powietrze stało się jakby tłustsze,
Armani w mig pojął, że oto nadciąga najstrasz-
liwszy samiec na całym Kazimierzu, góra tłusz-
czu, dalajlama lipidów, sam we własnej osobie
Władca Golonek. Ponieważ Armani miał wy-
czulony słuch, rychło zaczęły dobiegać do niego
strzępki hasel i wrogich pomrukiwań. „Precz
z Olimpem” brzmiało nieco dziwacznie, ale już
„Czubyaty na pal” miało złowrogą nutę. Kiedy
ogromny mężczyzna wyłonił się z ulicy Józefa,
Armani uświadomił sobie, że to chyba cały bar
Miejsce zbliża się do klubu Migawka i chyba nie
będzie to towarzyska lub dyplomatyczna wizyta
na wysokim szczeblu. Olimpia wciąż tłumaczy-
ła i tłumaczyła, kiedy Armani próbował uświa-
domić jej nadciągające niebezpieczeństwo. Nie
słuchała go, aż wreszcie musiał wrzasnąć:

– Czyngis-chan nadchodzi!

– Kto? – Olimpia w końcu zainteresowała się
Armanim.

– Tuścioch tu lezie z bandą hipsterów i chyba
nie jest w dobrym nastroju.

Olimpia pobiegła do drzwi i jęknęła:

– O kurwa!

– Co się dzieje? – zapytał Czubyaty.

– On chyba chce nas powiesić albo wbić na pal. +